

MARTA OBUCH

JAK TU TYLKO  
ZABIJAM

FILIA



MARTA OBUCH

JA TU TYLKO  
ZABIJAM

FILIA



*Dla Bogdana, który sam prosił, żeby go zabić,  
i to w możliwie okrutny sposób  
(starłam się, kilka razy...),  
ale także dla Krzysztofa i Pawła,  
którzy wcale nie chcieli być zabici  
i prawie na to samo wyszło...  
Szczególne podziękowania za pomoc  
dla Pani Iwony i Pana Grzegorza oraz dla dyrekcji  
CINiB-y!*



Bywają dni tak ciemne i ponure, że człowiek rozważa tylko dwie możliwości: pójść w alkoholizm albo popełnić samobójstwo. Tosia czuła się dziś wyjątkowo podle i wcale nie dlatego, że stało się coś konkretnego. Po prostu w środku po południu dopadł ją cholerny ból istnienia.

Zdarza się.

Zwłaszcza kiedy ma się kilka zbędnych kilogramów, o parapet bębni deszcz, a na zewnątrz jest tak ciemno, że w środku lata trzeba w południe włączać światło. Są jednostki zupełnie niewrażliwe na słońce, burze i nawałnice, a są osoby takie jak Antonina Biczak, które na każdą ciemną chmurkę i spadek ciśnienia reagują dołem albo zejściem śmiertelnym. Nie żeby Tosia sobie taki los wybrała, poza tym wcale nie zamierzała dawać za wygraną i pogrążyć się w otchłani rozpacz.

Żadnego cackania się ze sobą i roztkliwiania.

Żadnego odgrywania ofiary.

Na takie okoliczności miało się przygotowany plan B.

Po pierwsze, należy pamiętać, i nieustannie to sobie powtarzać, że życie ma charakter falowy i jutro, pojutrze, najdalej za tydzień wyjrzy słońce. I to prawdziwe, i to metaforyczne, zresztą słońce jest za chmurami przecież nawet w najbardziej paskudny dzień. Ciemne dni miną, uczucie, że się utknęło w czarnej dupie – tak, to też minie. Poza tym czarna dupa ma to do siebie, że kiedy się w niej siedzi, widzi się „jelita” do połowy puste, a czasem należy docenić fakt, że się je w ogóle posiada... Po drugie, jest takie norweskie powiedzenie, że nie ma złej pogody, są tylko złe ubrania. Kiedy nastają ciemne, ponure dni, należy się po prostu odpowiednio ubrać i wyjść z domu, i to bezwzględnie. A nie siedzieć na kanapie i w rozwleczonych gaciach wyciągać pierwiastek z nieśmiertelności. Nie, nie, nie i jeszcze raz nie! Mądre księgi mówią też, że takie miętolenie w kółko własnego nieszczęścia wcale nie jest dobre.

Bo myśl stwarza rzeczywistość.

Antonina Biczak zatem z ociąganiem się ubrała (do południa snuła się smętnie po mieszkaniu w pizamie), zerknęła do lustra, mentalnie puściła pawia na widok ryżego czupiradła w odbiciu, a potem spakowała do plecaka rękawice kuchenne, dywanik łazienkowy i nieduży koc. Skoro dzisiejszy dzień i tak był do bani, trudno, do kompletu popadnie również w konflikt z prawem.

Pójdzie ratować świat.

Gdyby wiedziała, co z tego ratowania wyniknie, postawiłaby na alkoholizm.





Do domu przy ulicy Akacjowej Tosia trafiła dzięki swojemu promotorowi, profesorowi Krzysztofowi Nałęckiemu – zamiast otworzyć przewód pokarmowy, otworzyła przewód doktorski i pod kierunkiem tego sympatycznego socjologa pisała doktorat. W maju wreszcie skończyła (rok wyjęty z życiorysu), czerwiec upłynął jej na ogarnianiu uczelnianej papierologii, w międzyczasie zdała jeden z kilku obowiązkowych egzaminów i w oczekiwaniu na recenzje teoretycznie mogła się teraz cieszyć zaśluzonymi wakacjami. Marzyła, żeby gdzieś wyjechać, dla higieny umysłu należało koniecznie co jakiś czas zmieniać otoczenie, ale urlop w pojedynkę jakoś jej nie nęcił, a Lulek, jej osobista podpora duchowa i najlepszy przyjaciel jeszcze z czasów dzieciństwa, mógł się urwać z pracy dopiero w sierpniu, zatem lipiec widniał przed Tosią niczym łopoczące na wietrze prześcieradło.

Czyste, świeże i nieskalane.

To znaczy nieskalane było na początku miesiąca, teraz to się miało zmienić.

Wszystko zaczęło się kilka dni temu, kiedy kolega jej promotora, profesor filozofii Bogdan Bukowiński, poprosił o pomoc w znalezieniu... zaufanej osoby do pilnowania domu podczas urlopu gospodarzy – tak to zostało ujęte, choć w praktyce chodziło o ogrodniczkę i poskramiaczkę dzikich zwierząt albo o ogrodnika i poskramiacza. Płeć nie miała znaczenia, ważne, żeby to nie był ktoś obcy. Pro-

fesor Nałęcki zapytał, czy Tosia może kogoś polecić, wcale nie przypuszczając, że zainteresowanie okaże jego własna doktorantka.

Tosia, mieszkanka Tauzena, czyli osiedla Tysiąclecia w Katowicach, jednego z największych betonowych osiedli w kraju, miałyby nie chcieć spędzić kilku dni w najprawdziwszym ogrodzie?

Ależ bez dwóch zdań!

Przy okazji świetnie się składało, gdyż profesor mieszkał całkiem niedaleko, bo na tyłach Parku Śląskiego. Żona profesora Bukowińskiego wyjechała do siostry w Bory Tucholskie, a on sam, zapalony taternik, znalazł w ostatniej chwili partnera do wspinaczki i zamarzył mu się kilkudniowy wypad w góry. Nie mógł w ten upał zostawić na pastwę losu ani psa, ani ogrodu – gdyby żona zastała po powrocie zdechłe hortensje, z pewnością by go zabiła. Za codzienne podlewanie grządek i karmienie czworonoga oczywiście oferował zapłatę, choć Tosi głupio było podejmować tę kwestię i kwota ostatecznie nie padła, a z samym profesorem Bukowińskim udało się jej porozmawiać tylko jeden jedyny raz, podczas przekazywania kluczy. Później, zgodnie z zapowiedzią, profesor zniknął z powierzchni globu – to znaczy z pola namierzania telefonii komórkowej. Najważniejsze, że przed zniknięciem zgodził się, żeby ogrodniczka mogła po pracy siedzieć sobie pod drzewami na leżaczkę i czytać książkę, choćby do nocy.

Czy to więc nie fantastyczna perspektywa?

Z węzłem ogrodowym Tosia umiała się obchodzić, przez pierwsze trzy dni chodziła na Akację wczesnym

rankiem, podlewała grządki, nawet z lubością je plewiła, karmiła Nietzschego (tak zwał się włochaty wypierdek, czyli wspomniany w rozmowie z profesorem pies: bardzo brzydki, bardzo nieforemny, bardzo niewdzięczny i bardzo szczekliwy psi egzemplarz) i wszystko byłoby w najlepszym porządku, gdyby nie dwie okoliczności. Po pierwsze, Nietzsche – co za ponury żart! – był uwiązany do budy za pomocą ciężkiego łańcucha o długości mniej więcej dwóch metrów i chyba z tego powodu był wredny, nieszczęśliwy i ogólnie bardzo trudny w obsłudze. Po drugie, przez kolejne trzy dni non stop lało, a buda stała w zagłębieniu terenu i z każdym dniem skądinąd ten malowniczy i obsadzony nagietkami dołek coraz bardziej wypełniał się wodą, tworząc coś na kształt małego jezioraka z budą pośrodku w charakterze dziurawej łajby.

Skomlenie Nietzschego nie pozostawiało żadnych złudzeń.

Należało działać.

Na przemoczonym psim pysku dało się dostrzec autentyczną żalność i choć między Tosią a zwierzęciem nie było żadnej chemii, raczej fizyka (najwyklesze odpychanie), to trzeba by mieć serce z kamienia, żeby nie chcieć ulżyć tej istocie w cierpieniu.

Już pierwszego dnia ulewy Tosia chciała wybrać spod budy wodę znalezionym przy domu wiadrem, ale kiedy tylko się do niej zbliżała, pies zaczynał tak złowrogo warczeć, że wołała nie ryzykować odgryzienia kończyny. Swoje kończynki akurat bardzo lubiła, zdążyła się do nich w ciągu swojego trzydziestoletniego żywota przyzwyczaić,

zwłaszcza była przywiązana do nóg, podobno nad wyraz zgrabnych, a że był to jej jedyny atut, zrezygnowała.

Drugiego dnia woda już całkiem weszła do budy, pies przebierał łapami, ale warczał nadal, choć z mniejszym zapałem, a profesor wciąż nie odbierał telefonu. Tosia próbowała uzyskać od sąsiadów namiar na panią Bukowińską, ale w sąsiednich domach nikogo nie zastała, a kobieta z naprzeciwka powiedziała, że o ile jej wiadomo, pani Bukowińska zmieniła niedawno numer i przed wyjazdem nie zdążyła go nikomu podać. Profesor Nałęcki też nie odbierał i Tosi pozostało mieć nadzieję, że przestanie lać.

Nie przestało.

Lało całą ostatnią noc, a teraz z ponuro nastroszonego nieba siąpiło coś, co początkowo może i było kapuśniaczkiem, ale obecnie deszcz przypominał raczej pomidorową z ryżem – plaskał o trawnik nie strugami, tylko mętnymi kulkami wody. Ogród stracił blask, panosząca się wszędzie zieleń przeszła w rozmytą szarość, produkcja chlorofilu w przyrodzie drastycznie spadła.

Nietzsche nie szczyrzył już kłów.

Cichutko skomlał i Tosia uznała, że postąpiła słusznie, zabierając z domu niezbędny ekwipunek ratowniczy – zdaje się, że po spotkaniu z psem nie wylądował w szpitalu z rozszarpaną krtanią. Psina najwyraźniej całkiem opadła z sił, wczorajsza wrzucona do budy kość leżała rozmoczona na brzegu jeziora.

– Chyba już sobie pewne kwestie przemyślałeś, co, kolego? – Tosia usiłowała nawiązać ze zwierzęciem kontakt,

czuła jednak, że pytanie trafiło w pustkę. – I nie będziesz kęsał wyciągniętej do ciebie ręki?

Za obietnicę musiało jej starczyć łypnięcie przepastnie czarnych i ponurych oczu.

– Dobra, ale najpierw trzeba coś zrobić z tym że-  
lastwem...

Westchnęła i przyjrzała się łańcuchowi, po czym zro-  
biła kilka kroków w kierunku budy. Nietzsche zapiszczał,  
co przekonało ją, że warto zaryzykować i dokonać ma-  
łego włamania. Małego, bo przecież chciała uwolnić psa  
z okowów, a nie sięgnąć po zawartość skarbca NBP, dzia-  
łała w dobrej wierze. W porośniętej dzikim winie budce  
z narzędziami nie spodziewała się znaleźć diamentów, ale  
nożyce do cięcia metalu.

Zanim do tego jednak doszło, usłyszała dzwoniący  
telefon.

Profesor Nałęcki, wreszcie!

– Dzień dobry, pani Tosiu.

– Panie profesorze! Jak to dobrze, że pan dzwoni.

– No, no... Czyli nie jest jeszcze tak źle, skoro dokto-  
ranci się cieszą, kiedy...

– Panie profesorze! Ja się w ogóle NIE cieszę, to zna-  
czy cieszę się, że pana słyszę, ale ogólnie to tragedia, bo  
ta gadzina... Znaczy pies... – zaplątała się Tosia. – Pies  
profesora Bukowińskiego...

– Pies, no rozumiem, co z nim?

– On się zaraz utopi i ja go muszę uwolnić, a nie mogę  
się dodzwonić do pana kolegi. I muszę się włamać! Ale  
wcale nie chcę się włamać, tylko on piszczy tak, że nie

mogę już tego znieść. Zaraz zwariuję! Czy pan się zgadza na włamanie?!

Tosia dała pospiesznie upust emocjom, możliwe, że w sposób dość chaotyczny, bo profesor chyba nie zrozumiał.

– Włamanie? Ależ to doskonale się składa, pani Tosiu!

– Proszę?

– Gdzie pani teraz jest?

– Przecież na Akacyjowej. Czemu się doskonale składa? – zapytała niemal płaczącym głosem. – Ja się wcale nie chcę włamywać, mówiłam...

– Doskonale, że pani dzwoni. Proszę pani, ja się na tym nie znam. Nic o tym nie wiem i nie chcę wiedzieć.

Teraz to już Tosia całkiem zgłupiała, na domiar złego deszcz zaczął przybierać na sile tak, że musiała się gdzieś schować, żeby ratować telefon przed zamknięciem. Co ten profesor gada? Nic o tym nie wie? W sensie, że oficjalnie nie chce wiedzieć, że ona się włamuje?

– Panie profesorze...

– Pani Tosiu, zaraz tam będę. Za pół godziny! – zagrział profesor wielce z czegoś ucieszony. – Tylko wysiądę z tego upiornego autobusu i zamówię taksówkę... Tak się składa, że mnie, proszę pani, nie interesuje niczyje życie prywatne...

– Życie prywatne?!

Co ma włamanie do życia prywatnego? I niby kogo to życie? Przecież nie jej, już prawie całkiem zapomniała, co to takiego randka, na prawdziwej randce była dwa lata temu, a wysłuchiwanie zwierzeń swojej przyjaciółki

Goški, która tonęła w skomplikowanym romansie, trudno było nazwać życiem prywatnym.

Tosia usiłowała rozwikłać zagadkę, ale profesor ją uprzędził.

– Pani Tosiu, to nie do pani... Może się pani po prostu przysiadzie do kogoś innego? Tam siedzi jeden samotny pan... Na pewno będzie zadowolony z towarzystwa. To naprawdę fascynujące, ale przepraszam, mam pilną sprawę do załatwienia. Żegnam panią... Pani Tosiu!

– Jestem...

– Wybawiła mnie pani od... Nieważne. Ważne, że udało mi się uciec – sapnął profesor i po oddechu można było wnioskować, że się spieszy. Trzasnęły zamykane drzwi, w słuchawce dał się teraz słyszeć, dla odmiany, zgiełk ulicy. – Tylko co to znaczy, że pies się topi i musi się pani włamać? – spytał już po swojemu głosem dociekliwego naukowca. – Gdzie? Do domu? Przecież pies jest na zewnątrz, o ile mi wiadomo. I jak to się topi? W czym?

– W wodzie...

– Domyślam się. Ale gdzie ta woda? W studni, w stawie... Musi się pani gdzieś rzucać, wskakiwać? Po prostu zastanawiam się, czy pani nic nie grozi.

Tosi zrobiło się pod nieprzemakalnym płaszczem gorąco, a Nietzsche zaczął wyć, ale jakoś tak dziwnie, jakby żarł podłg karmę i w połowie się rozmyślił, a karma przykleiła mu się do podniebienia.

Tosia podjęła kobiecą decyzję.

– Leje – obwieściła mało odkrywczo, ale już nie miała sił, żeby szczegółowo wszystko objaśnić. – Buda

cała zalana, a ta gadzina jest przywiązana do niej łańcuchem. Trudno, nie chcę mieć go na sumieniu, oficjalnie zawiadamiam...

– Pani Tosiu!

Profesor jeszcze coś mówił, ale Tosia przeprosiła i zakończyła połączenie, po czym wzięła energiczny rozmach i z nieskrywaną satysfakcją kopnęła w drzwi domku z narzędziami. Ma się jeszcze w nogach ten power! I kalosze się przydały, w sandałach taki wykop sprawiłby trudności techniczne. Zaraz brzęknęło, skobel odskoczył, a wnętrze domku stanęło przed nią otworem.

Nieco makabrycznym otworem, jak się zaraz okazało.

Ze środka buchnęła zapachowa mieszanina zamokłego papieru, smaru, świeżego drewna i jeszcze czegoś. Czegoś, co pozostawia w ustach metaliczny posmak... I kiedy wzrok Tosi przyzwyczał się do półmroku, uświadomiła sobie, na co, a właściwie NA KOGO, patrzy.

A otóż na półżywego profesora Bukowińskiego.

Biedak już nie miał sił wydawać z siebie dźwięków – jego szyję oplatał gruby sznur biegnący drugim końcem do imadła przytwierdzonego do wielkiego drewnianego stołu, pod którym profesor w półprzysiadzie dyndał, wywalając białka oczu w każdą możliwą stronę. Ledwie dotykał nogami ziemi.

Czy tak wyglądała agonია?

W dodatku imadło i profesor byli obficie umazani czymś, co z pewnością nie było keczupem, ale...

Najprawdziwszą krwią.



W tym momencie nieco zakrzepłą, ale wciąż połyskującą intensywnym szkarłatem.

Tosi zaczęły latać przed oczami czerwone płatki...  
Nietzsche wył.



„Każdej minuty życie zaczyna się na nowo”.

Czy to nie pocieszające?

Można się upodlić, paść na twarz, zawalić coś niezwykle ważnego, a potem i tak dostać od losu szansę, a właściwie – dać ją sobie samemu. Profesor Nałęcki dumiał w duchu nad słowami Thomasa Mertona, kiedy na przystanek w podziemiach dworca wtoczył się, burcząc żółtym brzuchem, autobus jadący do Silesii. Nie żeby centra handlowe to były miejsca, za którymi profesor przepadał, ale tak rozwijało się społeczeństwo: od indywidualizmu po trywialną powtarzalność i upragnioną przez większość masówkę, odciąć się od tego obłądu było nadzwyczaj trudno. Mnogość bodźców, mnogość szopingujących kobiet, mnogość cudzych myśli, które niczym głodne ptaki krążyły pod przeszklonym sufitem wokół kwestii tak ważkich jak letnia promocja – we wczesne poniedziałkowe popołudnie prawdopodobieństwo zmiernienia się z tym wszystkim było jednak niewielkie, za to prawdopodobieństwo nabycia obuwia, w którym można pomykać po rozgrzanych greckich pustkowiach (profesor wybierał się niebawem na wakacje), z chwili na chwilę rosło.

A zaraz potem zaczęło gwałtownie maleć.

Profesor wszedł do pojazdu, wyciągnął swoim zwyczajem książkę i już miał zasiąść na upatrzonym miejscu i pogрузić się w lekturze, kiedy zauważył machającą do niego z podwójnego siedzenia kobietę. Na pewno do niego, tylko on wsiadł tymi drzwiami. Ten błysk rozpoznania w umalowanym oku, ten naglący gest przywoływania, ta radość...

Czy wypadało to wszystko zignorować?

Jednocześnie profesor usiłował sobie w panice przypomnieć, skąd, do licha, zna tę twarz. Bo znał, w odmętach pamięci majaczyła mu rodzima uczelnia, ale gdzie, kiedy i w jakich okolicznościach...

– Krzysiu! Jak miło cię widzieć!

– Ooo... Dzień dobry – wydukał zaskoczony poufałością i usiadł. Krzysiem nazywała go mama i tylko jej na to pozwalał. Zdrobnienia są dobre dla piesków, może dlatego się zjeżył. – Też się pani wybiera do...

Już, niepomny niebezpieczeństwa, chciał zdradzić cel podróży, ale entuzjazm w intensywnie niebieskich jak kostka do WC oczach powiedział mu, że mogłoby się to źle skończyć.

A nuż kobiecie przyjdzie do głowy wysiąść razem z nim?

– Jadę do domu, mieszkam na Klimzowcu – wyjawiała, nachylając się do niego zachęcająco i profesor poczuł dreszcz. I nie był to dreszcz rozkoszy. Czy nie tak czuli się starożytni Ateńczycy tuż przed inwazją Spartan? – Nie mów, że ty też...

– Na Klimzowcu? Yyy, nie! – zaprzeczył czym prędzej. – Ja zdecydowanie nie!

– A gdzie mieszkasz?

Tego typu pytania były jak kamyk w bucie. Prywatność profesor oddzielał od swojego życia zawodowego grubą, bardzo grubą kreską i już tylko samo zbliżenie się do niej odczytywał jako wścibstwo, a wścibstwa nienawidził.

– Jestem obywatelem świata – rzucił górnolotnie i spróbował się zaśmiać, ale kobieta od błyskotliwości ceniła sobie raczej bardziej błyskotki, którymi była cała obwieszona.

Kolczyki, naszyjnik, pierścionki, brakowało jedynie błysku na zębach, zachęcająco odsłoniętych w uśmiechu aż po same dziąsła.

Profesorowi zrobiło się naraz nieswojo.

– Aaa... Spoko, ja też – skwitowała i zaraz przeszła do konkretów. – Krzysiu, ty jesteś mądry facet, dobrze, że cię spotkałam. Może się wypowiesz...

– Mądry? – zaprotestował, bo zwierzenia obcych kobiet to było coś jak ciężkie perfumy. Nie można od nich uciec, cholerstwo wgryza się w śluzówki, dusi, a potem zostaje już tylko potworny ból głowy. – Bardzo dziękuję, ale nie ryzykowałbym takich tez. To raczej antycypacja.

– Czemu anty...

– Domniemanie, przypuszczenie, założenie – wyrecytował automatycznie, widząc jej zdezorientowaną minę.

– Aaa! Bo już się zastanawiałam, czy to ma coś wspólnego z antykoncepcją i o co kaman w ogóle. – Zarechotała, zadowolona z rzuconego żartu. – W sumie to całkiem

**Rzut golonką, ucieczka na hulajnodze i prawie udany, choć nieudawany orgazm. Miłosna pomyłka i przestępcze ADHD. Najnowsza powieść Marty Obuch to komedia, kryminał i romans w jednym. Czyta się świetnie!**

Tosia zostaje zatrudniona jako ogrodniczka i poskramiaczka niesfornego i wyjątkowo paskudnego „zwierza”, a potem zaczyna się seria tajemniczych zamachów, włamań, pomyłek oraz nieszczęśliwych wypadków – jak łatwo się domyślić, to główna bohaterka jest ich wspólnym mianownikiem, co automatycznie czyni z niej osobę najbardziej podejrzaną. Obrót zdarzeń wcale się Tosi nie podoba. Dziwi ją również, że nagle staje się obiektem męskiej rywalizacji. Zastanawia się, jak to możliwe, że milioner może wyglądać jak obwieś i mieć wielkie serce, a zabójczy przystojniak może być ładny tylko na zewnątrz.

Co jest ważniejsze: satysfakcja czy ekscytacja? Na czym polega chmuring? I czy można schudnąć, jedząc ortodoksyjną owsiankę i myśląc o swojskiej kiełbasie? Życie Tosi zupełnie się zmienia, zmienia się i ona sama, dochodząc przy tym do wniosku, że nie trzeba się zmieniać, żeby zasłużyć na miłość. Zasługiwać na zbrodnię natomiast nie trzeba wcale – ktoś czai się w mroku i zupełnie nie wiadomo, o co mu chodzi...

**FILIA**

**cena 49,90 zł**

wydawnictwofilia.pl



ISBN 978-83-8357-234-5



9 788383 572345